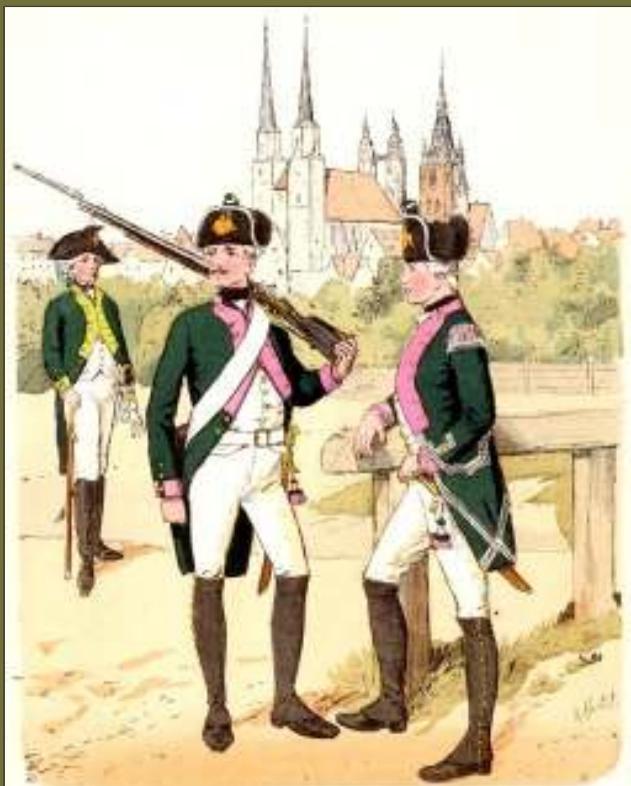


Wiktor Gomulicki

GRANDMUSZKIETER

powieść z czasów Augusta Mocnego



Armoryka

Wiktor Gomulicki

GRANDMUSZKIETER
Powieść historyczna z czasów Augusta Mocnego

Wiktor Gomulicki

GRANDMUSZKIETER

*powieść historyczna
z czasów Augusta Mocnego*

**Armoryka
SANDOMIERZ 2009**

Redaktor: Władysław Kot
Projekt okładki: Juliusz Susak

Ilustracja na okładce: *Prussian fusiliers in 1792 by Richard Knötel (1857-1914).*,
(licencja *public domain*),
źródło: http://en.wikipedia.org/wiki/Image:Prussian_Fusiliers.jpg

Copyright © 2009 by Wydawnictwo
i Księgarnia Internetowa ARMORYKA

Wydawnictwo ARMORYKA
ul. Krucza 16
27-600 Sandomierz
tel (0-15) 833 21 41
e-mail: wydawnictwo.armoryka@interia.pl
<http://www.armoryka.strefa.pl/>

ISBN 978-83-60276-69-3

I.

Przez puszcę szedł człowiek.

Była wczesna jesień. Dzień dopiero się rodził.

Dreszcze biegly po olbrzymich drzewach, których czuby liściaste otrząsały się z resztek rosy i snu. Ptactwo cichymi piśkami gotowiło się dopiero do porannych hejnałów. Wśród gęstych traw śmigaly zające i inne drobne zwierzątka, spijając rozwieszona na źdźbłach wodne perły i diamenty.

Jeszcze w przyrodzie była ociążałość i jakby niechęć do porzucenia nocnych majaków — nad które cóż w życiu rozkoszniejszego!

Przez rosę, przez mgłę, wśród uperlonych traw i chwastów ubrylantowanych szedł człowiek. Właściwie nie szedł, lecz, drogi nie szukając, przez gąszcze się przedzierał. Pilno mu było; myśl jakaś uparta, nad wszystkim górująca, do celu go pchała. Mało zważał na kolce, rozdzierające mu odzież, na gałęzie, które mu twarz raniły.

Prawą ręką człowiek rozgarniał gęstwiny; w lewej trzymał małą klatkę z ptaszkiem. Przy stopach jego biegł piesek, cienko, lękliwie poszczekując.

Ptaszek i piesek były maleńkie. Człowiek był olbrzym. Potężny wzrostem i kształtami, z piersią gladiatora, barkami Herkulesa, karkiem zębora, wydawał się bratem dębów, których grube konary, gdy mu zawadzały, skręcał i łamał jak wicie wierzbowe.

Włosy jego były bardzo jasne, prawie białe; twarz, młoda i pełna, musiała być zwykle różowa, w tej chwili jednak pokrywała ją szara bladość, mówiąca o silnym wewnętrznym cierpieniu...

Odziany był ten człowiek w kontusz podnoszony, barwy pieprzowej; z pod kontusza wykwitał żupanik splewiałym karmazynem maku polnego. Na głowie rogatywkę miał, byle jak włożoną i połataną, na stopach buty — podarte.

Strój wskazywał szlachcica — szaraczka może, lecz z aspiracjami wyższymi.

Co chwil parę, człowiek przemawiał to do ptaszka, to do pieska.

Pierwszego uspokajał:

— Cicho siedź, Herkul. Za moment wolny będziesz. Polecisz, dokąd zechcesz — odnajdziesz braci swych, krewnych, powinowatych...

Drugiemu nauki prawil:

— Ty, Goliat, nie opuścisz mnie. Na ziemi się położysz, szczekać i wyc będziesz. Usłyszysz cię jaki dobry katolik: przyjdzie i co trzeba, zrobi. A jeśli wilk cię pożre, to lepiej. Bez pana życie miałbyś twarde...

Piesek szczekał, ptaszek świegotał — człowiek darł się a darł przez krzaki i chaszczce.

Niekiedy w miejscu stawał, głowę pochylał — zamyślał się. Ptaszek wówczas przycichał; piesek wydawał jęklive skomlenie. Człowiekowi zdawało się braknąć siły. Ale wprędce prostował się, otrząsał...

— Furda, mospanie! — hardo wykrzykiwał.

I szedł dalej.

Tymczasem po puszczy, na kształt srebrnych dzwoneczków, rozsypały się cienkie głosy psów gończych. Tu i owdzie zajęczał róg, zadźwiękła trąbka. Na sennego jeszcze zwierza zakładano obławę. Podnosiły się nawet w oddaleniu nawoływania ludzi, ale mgła i mrok przedporanny zaraz je chłoneły.

Żadnego z tych głosów człowiek idący nie słyszał.

Jeszcze kroków kilkadziesiąt, kilkaset — jeszcze zmieszany, fałszywy chór szczeków, skomleń, pisków, świegotów — jeszcze jedno, drugie, dziesiąte szarpnięcie się, omdlenie, znów szarpnięcie — i człowiek znalazł się u celu.

Staął, rozejrzał się...

Była to nieduża kotlinka, może zimowe leże dzika lub niedźwiedzia. Pnie starych, wywróconych drzew, mchami obrosłe, na pół zgniłe i spróchniałe, wśród chwastów butwiały. Pośrodku wystrzelała w niebo olbrzymia sosna, królowa sosen, z drzew puszczy może najwspanialsza i najroślejsza. Dolne jej konary wicher postrącał, zostały po nich tylko krótkie, sterczące wyrostki.

Miejsce dziwnie było głuche, jakby przez ludzi zapomniane i już poza granicami tego świata leżące. Znali je wszakże myśliwi. Wypalona trawa, resztki węgla i popiołu świadczyły, że tu palono ogniska.

Człowiek zatrzymał się, lecz mimo zmęczenia nie spoczął. Czapkę cisnął o ziemię, rękawem kontusza pot z czoła otarł — oczami po sośnie i po gałęziach utraconych wodził. A dyszał ciężko, z wysiłkiem, jakby mu coś piersi rozsadzało.

Ptaszek w klatce osowiał i piórka nastroszył; psina rozciągnęła się na ziemi z językiem wywieszonym i drżała. Niebawem człowiek sęk odpowiedni upatrzył i klatkę na nim zawiesił, wpięrow ją utworzywszy.

— Bywaj zdrow, Herkul! — zawołał. — Leć na wolność, przyjacielu. Oby ci fortunniej szło niż twemu panu!...

Przez otwarte drzwiczki wysunął czerwoną główkę szczygielek. Pokręcił nią ciekawie w prawo i lewo, skrzydełkami leniwie zatrzepotał, lecz z miejsca się nie ruszał. Upłynęła długa chwila, zanim wreszcie wychylił się cały i z wolna, jakby niechętnie, z klatki wyfrunął. Wyfrunawszy, na wyższym sęku siadł — smutno ćwierkać zaczął...

Człowiek wciąż trzymał oczy, wbite w sosnę. Sęki najpierw oczami opatrywał, potem ręką próbował. Wybrawszy jeden, odstąpił od sosny — do rozwiązywania pasa się zabrał. A pas miał lity, pięknej roboty, — lepszych znać czasów zabytek.

Wspiąwszy się nieco na palce, jeden koniec pasa do sęka przytwierdził, drugi związał kształtem pętli. Pętlę do siebie przyciągnął, głowę wsunął w nią próbował...

W tej chwili, piesek, żałośnie dotąd skomlący, z całej siły zaszczeakał. Człowiek, nazbyt swą smutną robotą zajęty, nie zważał na to. Ale gdy szcsek przeszedł w ujadanie, mimowolnie głowę odwrócił.

Poza nim, na pniu wywróconego dębu siedział mężczyzna lat średnich, w bogatym stroju myśliwskim, z pańska — ba, całe z magnacka — wyglądający...

II.

— Niech będzie pochwalony... — wyrzekł nieznajomy, uchylając nieco zielonego beretu ze strusiem piórem. — A co to waść czynisz?

Tamten cały dygotał, zęby mu dzwoniły. Drżącym głosem odrzekł:

— Na wieki wieków... Czynię, co moja wola.

— Waści, jak uważam, bies opętał... — ciągnął myśliwy.

— Nie bies, jeno mizeria. Wszelako... z kimże mam cześć?

— Branicki jestem.

— Z których Branickich?

— Z dobrych. A w osobie waści kogóż spotykam?

— Kizgajłę.

— Z których Kizgajłów?

— Z mocnych.

Skłonili się sobie z dala dość obojętnie. Twarz Kizgajły mówiła wyraźnie, że spotkaniu nierad.

— Tak czy siak — ciągnął myśliwy — nie godzi się szlachcicowi duszy diabłu oddawać...

— Furda, mospanie! Ja w diabła nie wierzę.

— Z racji?...

— Gdym mu duszę w zastaw dawał, do cyrografu stanąć nie chciał. Próżnom na rozstajnych drogach zakłęcia powtarzał; próżnom w wirujący piasek rzucał nóż poświęcany — ani razu nie stanął. A czemu nie stanął? Bo go niema.

Branicki, słuchając do torby sięgnął, wydobyl z niej butelkę i dwa spore pucharki. Ustawił to wszystko ostrożnie na kłodzie, i rzekł:

— Mości Kizgajło! Polak, gdy głodny, to zły; gdy na czczo — trzy po trzy plecie. Spero, że mi waść dyshonoru nie wyrządzisz, aby ze mną kropli wina nie wypić. Czyste jest, uręczam. A po winie znajdzie się co i na głodny ząb położyć.

Tamtę ręką tylko machnął, okazując, że mu to wszystko jedno.

Wypili. Olbrzym ani spostrzegł, jak mu nalano drugi pucharek, który przełknął równie gładko, jak tamten. A po trzecim sam już sięgnął, nie pytając.

Te trzy miarki cudownie go przemieniły. Po pierwszej ustąpiła z jego lica szarość i stał się jednostajnie blady. Po drugiej wystąpiły mu na policzki słabe rumieńce. Po trzeciej rozplonął się cały jak róża. I wówczas dopiero okazało się, że jest chłop na schwał dorodny:

Na kłodzie zjawił się chleb biały i wędlina. Kizgajło mięsa nie tknął, czując, żeby mu przez ściśnięte gardło nie przeszło. Kromkę chleba w palcach roztarłszy, rzucać jął okruchy na ziemię. Wnet do jada przyczołgała się psina, a niebawem i szczygiełek, z sęka sfrunąwszy, do dziobania się zabrał.

Rozrzewniło to olbrzyma.

— Naści, Herkul!... Pyf, Goliat!... — powtarzał. — Ostatnie to wasze ze mną śniadanie — ostatnie!

I nieznacznie łzę ocierał, udając, że mu się oko zaprószyło.

Więc Branicki, z uwagą to śledzący, raźniej przemówił:

— Waść, widzę, serca złego nie masz. Jeszcze mi o zbawieniu waści wątpić nie trzeba. Kto o zwierzątku dbały, własnej duszy tym bardziej nie sponiewiera.

Nasrożył się tamten i gniewnie krzyknął:

— Furda, mospanie! Szlachcic bez substancji, jak ptak bez skrzydeł. Wzięli diabli fortunę, niech i mnie biorą!

— Twierdziłeś waść, że diabłów niema...

— Niema psubratów do dawania... ale porwać, capnąć, ukraść, zawsze się znajda.

— Od czegoż rozum, religia? Od czegoż moc, którą waść mieć musisz niemałą? Toż z mocnych wywiodłeś się Kizgajłów.

— Furda, mospanie! Bez klejnotu niema szlachcica; bez trzosa pełnego niema mocy.

Branicki wąsa najeżył.

— Gdzież zatem do stu piorunów, waść trzos podziałeś? W naszej Rzeczpospolitej calamitas dziś wielka. Nie wydarł ci substancji Szwed, Moskał, ni Tatar!

Kizgajło głowę zwiesił.

— Znalazł się gorszy od Szweda, Moskala, Tatara...

— Któż taki?

— Białogłowa.

— Acha! — zawołał Branicki —jużem w domu! Non dubio, że była młoda i urodziwa.

Tamten głową tylko kiwnął przytwierdzająco.

— Ano, może waść i nie za drogo ów towar kupileś?

— Właśnież, nicem nie kupił. Fortuny zbyłem, towaru mi nie dano...

— Jakże to?

Zaraz po tym zapytaniu zjawił się czwarty pucharek. Gładziej jeszcze niż poprzednie przemknął on przez gardło Kizgajłowe, naprawiając je tak skutecznie, że już wędlinie wstrętu nie czyniło. Jakoż urwał olbrzym zębami grzeczny kęs kiełbasy, za którym poszły inne, tak, że się wrychle torba myśliwego zgoła opróżniła.

Gdy podjadł, szczygiełka wziął do ręki, pieska na kolana, i podle Branickiego siadłszy, rzecz mu całą ab ovo wyłożył.

Przyczyną nieszczęścia była Zyzy, razem tancerka, śpiewaczka i linoskoczka, którą Kizgajło na biedę swą odnalazł w Słonimie, w kocującej bandzie cyrkowej. Maciupenka to była cyganeczka, ale od pierwszego spojrzenia głowę olbrzymowi zawróciła.

Przepadał on za wszelkimi maleńkościami. Mieszkał nawet w dworku niziuchnym, gdzie wyprostować się nie mógł bez stuknięcia głową o powagę. A Zzyzy nie przenosiła wzrostem chłopca dwunastoletniego. Była zaś przy tym prawem diabłątkiem, czarną, złotem centkowaną żmijką...

Na nieszczęście, ładne to maleństwo nie miało upodobania w olbrzymach. Na próżno Kiżgajło, aby smak dziewczyny odmienić, skupował jej złote, perłowe, bursztynowe kanaki, wisioriki, manele; na próżno szczupłe jej barki okrywał szalami indyjskimi, których za drogie pieniądze dostarczali mu kupcy ormiańscy; na próżno nowe, błyszczące dukaty do fartuszka jej sypał, lub wsuwał figlarnie za aksamitny, szychem naszyty gorsecik. »Żmijka« wszystko przyjmowała, lecz umiała zawsze zręcznie się wyśliznąć, gdy ją chciał przytrzymać.

Do Słonima przybył olbrzym, otrzymawszy schedę po zmarłym ojcu. Na nowe gospodarstwo kupić miał koni, wołów, statków przeróżnych. Przemyślał też o ożenku. Niestety, czarne ślepki cyganki tak go urzekły, że o świecie całym, a więc i o gospodarstwie do szczętu zapomniał. Nie tylko roztrwonił wszystką gotowiznę, lecz nadto długi zaciągnął, a wreszcie całą fortunę, z działów rodzinnych przypadającą, szwagrowi sprzedał.

I przyszedł dzień, gdy Kiżgajło (z mocnych Kiżgajłów) znalazł się na bruku miasteczka z jednym wytartym szelągim w woreczku i z dwoma ostatnimi przyjaciółmi, Goliatem i Herkulem — którym nie miał za co kupić pożywienia.

Zyzy zaś — już nie żmijka i diabłątko, lecz cały padalec i bies w niewieściej postaci! — czmychnęła w świat, nawet mu palcem na waletę nie kiwnąwszy...

Mocny Kiżgajło za bary się wziął z przeznaczeniem swym i poznał, że jednak ono od niego mocniejsze. Więc uszy stulił i z Goliatem a Herkulem z miasteczka się wyniósł. A w krotce potem i do puszczy trafił...

Wysłuchał Branicki opowiadania, węża kręcąc, z miną, bardziej zaciekawioną, niż zafrasowaną. Wysłuchawszy, rzekł:

— Ergo poznałeś waść, jak marnym obiektem jest płocha podwika. Rzecz byłaby też cał niemądra, dla takiej stwory duszę zatracą.

A na to tamten:

— Furda, mospanie! Duszę mam własną, nie kradzioną, ani pożyczaną — rozporządzam nią jak moja wola. Cyganka mnie urzekła — uroku żaden już znachor nie odczyni. A taki żyłbym i w służbę Rzeczypospolitej bym poszedł, gdyby bies fortunki nie capnął. Teraz mnie jedna tylko śmierć — bom na rezydenta za młody, na kłeryka za stary, a w służbę iść klejnot rodzinny nie pozwala.

Wstał z kłody i kończył niecierpliwie:

— Bóg zapłać waszmości za wino, ale każdemu z nas pora w swą drogę. Waszmości tam, gdzie trąbki grają, a mnie...

Ręką wskazał sosnę i pas na sęku, pętlą zakończony...

Branicki także wstał, za ramię go przytrzymał.

— Mówiłeś waść — rzekł, w oczy mu bystro patrząc — żeś był rad służyć Rzeczypospolitej. A cóż dziś temu w kontr sta-wa?

Olbrzym ramionami wzruszył.

— Gdzież koń, gdzież ryszstunek, gdzież dla luzaka myto?...

— A gdybyś to wszystko otrzymał?

— Skąd?...

— Nie pytaj tymczasem...

— Furda, mospanie! Tylko diabeł mógłby mi co ofiarować w zamian za duszę, — ale diabła niema.

Branicki spoważniał.

— Diabeł tu zbędny. I wspominać go nie trzeba. Nadstaw waść uszu — nie uroń nic z tego, co powiem. Pan Bóg twój czuwa nad tobą, i do zguby twej dopuścić nie chce. Gdyś tu szedł żywot i duszę zatracić, mnie, z dopuszczenia Bożego posłano za tobą, abyś żył i był szczęśliwy.

Tonem rozkazującym zakończył:

— Pojedziesz waść ze mną do Drezna.

— W Dreźnie król jegomość... — z niejakim zalęknieniem zauważył olbrzym.

— Właśnie do króla jegomości.

— W takich skórzniach?... W takim kontusinie?... Z dziurami a łatami?...

— Pojedziesz przystojnie i buczno, jak się godzi Kiżgajle z mocnych Kiżgajłów.

Olbrzym oczy rozszerzył, usta otworzył...

— W Dreźnie — ciągnął Branicki — dadzą ci mundur bogaty, suto wyszywany; dadzą konia cnotliwego, z całym kawalerskim opatrzeniem; dadzą stancję w pałacu, człowieka do posługi i wikt, jakiegoś u ojca i matki swej nie widział. Co miesiąc także wyliczą ci na rękę okrągłe quantum talarów, abyś miał za co bawić się i krewkości młodzieńskiej folgować...

— I za cóż to wszystko?

— Za to, że z podobnymi sobie junakarni straż będziesz trzymał przy świętej osobie najmiłociwszego pana naszego Augusta wtórego. Sam siłacz i personat, upodobał on sobie rosłych, kształtnych waligórow i wyrwidębów... Jakże więc: chętnyś waść tej imprezie?

Kiżgajło oblizwał się, jak kot na widok szperki.

— Ba! — westchnął, stwierdzając tym westchnieniem zgodę i kontentację.

Branicki wydobyl z woreczka dukatów garstkę.

— Masz tu waść na pierwsze oporządzenie się: na kontusz sudanny, na buciki przystojne. Pasik, Deo gratia, ocalał, szwanku nie doznawszy...

Kiżgajło pieniądze wziął, mocno się jednak zapłoniwszy.

— Gdy już gotów będę — spytał głosem nieco przytłumionym — gdzież mam waszmości, pana mojego, szukać?

— Za dwie niedziel w Grodnie. Spytasz waść o chorążego wielkiego koronnego.

Olbrzym skłonił się z weneracją, lecz bez submisji. Szlachcic był na zagrodzie, więc — rówien wojewodzie.

Branicki, ukłon ukłonem zapłaciwszy, zeszedł z kotlinki i zaszył się w gąszcz, gdzie zaraz dźwiękiem rogu innym myśliwym dał znać o sobie.

Kiżgajło długo jeszcze stał w miejscu, zbierając myśli, które mu w głowie kotłowały. Wreszcie ruchem energicznym odczepił od sęka pas, zamknął ptaszka w klatce, gwizdnął na pieska, i przywdziawszy podjętą z ziemi czapczynę, ruszył szparko — nie środkiem puszczy jednak, lecz drogą utorowaną.

Na odchodnym całą pierśią krzyknął:

— Furda, mospanie!

III.

Wesołe, zalotne, rozbawione towarzystwo, ze śmiechem i krzykami bachicznymi, rozsypało się w podskokach po jednym z przepięknych, drezdeńskich ogrodów króla i elektora. Rozsypało się — i wnet drobnymi grupami wsiąknęło w strzyżone szpalery, w kwietne klomby w sztuczne ruiny, w ocienione gęstymi krzewami labirynty...

W jednej z ustronnych altanek, wśród splotów pnącego się caprifolium, pod białym posągiem Herkulesa, pozostał król — sam. Może hulaszczą, winem i słońcem podniecona, czerebda, zapomniała o nim, — a może on wymknął się jej, osobistym dogadzając chęciom. Zasiadł w niewygodnym fotelu z gałęzi brzozowych, na prostym stole wsparł rękę, głowę w wielkiej peruce na dłoni złożył, i dumał. Z twarzy jego jakby

spadła maska: zamiast dionizyjskiej wesołości malowało się na niej frasobliwe znużenie.

Król-Apollo wyglądał w tej chwili zgoła szpetnie; August Mocny czuł się zupełnie słabym. Zmogła go najtęższa z siłaczek: królów, bogaczów i wesołków prześladowająca — nuda.

Król nudził się — szalenie, śmiertelnie się nudził!

Przestały już go bawić kobiety — choć z nałogu wciąż się jeszcze niemi otaczał. Bale, pikniki, maskarady, odbywające się każdego niemal dnia i każdej nocy, przejadły mu się, niby marcepan, spożywany na śniadanie, obiad i wieczerzę. Upodobań artystycznych nie miał; zmysłowiec z grubymi, prostackimi instynktami, całe szczęście znajdował w jedzeniu, picciu, zabawie i rozpuście. A gdy wiek i wszelkiego rodzaju nadużycia rozstroiły mu żelazny organizm, coraz częściej zdarzało się, że od suto zastawionej uczty życia wstawał głodny, i przesyt czuł, nie nasyciwszy się...

Polityka, w znaczeniu mądrego, ojcowskiego rządzenia krajem i narodem, mało zajmowała go zawsze — teraz, nie zajmowała wcale. Politykował, aby zdobyć koronę polską, która była jego marzeń i ambicji szczytem; gdy ją posiadał i o stracenie jej bać się przestał, myślał tylko o sobie, żył tylko dla siebie.

Gdyby nie pamięć o synu, którego następcą swym czynił, byłby ów klejnot drogi, po Piastach, Jagiellonach, Wazach odziedziczony, przefrymarczył z carem Piotrem Aleksiejewiczem. Chęci nie brakło — a i pokusa była...

August dumał, ale w jego pustym mózgu żadnej myśli nie było. Przesuwały się tam tylko blade, wypełzłe majaki, których kształtu rozpoznawać nie mógł. Nużyło go to, więc ziewał. Szerokie, głośne, niczyją obecnością nie krępowane ziewania w liczne fałdy mięły mu policzki, a długi, kaczy, pod pudrem nawet czerwony nos, tym podobniejszym czyniły do dzioba ptasiego.

Ckliwie było staremu rozpustnikowi. Doświadczał wrażeń, jakby wielka, gęsta, brudna chmura zasuwiała mu z wolna świat cały, okrywając go mokrymi i oślizgłymi, jak pierś gada, zwojami. Oddech tracił, uduszenia się lękał...

A już go ów lęk w ostatnich czasach chwycił wielokrotnie. I zawsze wówczas pożył jakiegoś nadzwyczajnego zgiełku, wrzawy hałaśliwej, która by cały świat wstrząsając, zbudziła do życia i jego przytępione, obumierające nerwy.

Roily mu się w takich chwilach szeregi zakutych w zbroje olbrzymów, całe pułki buchającej ogniem artylerii; grzmoty wystrzałów, szczęk białej broni, rozdzierające krzyki wielkich mas żołnierstwa — wszystko to jednak dekoracyjne tylko, bezkrwawe, bo August Mocny walki prawdziwej nie lubił i bał się.

Na ścieżce ogrodowej zjawiał się paż — rozbawiony, jak wszyscy, półpijany, z pękiem świeżych róż na piersi, który mu pewnie jedna z dam dworskich przypięła.

Gdy mijał altankę, król go przywołał.

— Przyprowadź mi tu pana miecznika koronnego — rozkazał.

Młodzieńczyk sta! wyprostowany; twarz jego wyrażała niepewność i zakłopotanie.

— Księcia Aleksandra Lubomirskiego — powtórzył król niecierpliwie.

— Ach tak! — ożywił się tamtym — jaśnie oświeconego księcia generała. Natychmiast!

W kilka minut później stał już przed królem ksiązę Lubomirski, w mundurze generała wojsk saskich. Znać było na nim, że się wyrwał przed chwilą z grona wesołych, pustych biesiadników, niby z orszaku bachantów i bachantek. Śmiały mu się usta i oczy, pudrowana peruka była lekko przekrzywiona, kapelusz płaski, trójkątny, zamiast pod pachą, spoczywał na porcelanowej gardzie szpady.

W lansadach prawie baletniczych zbliżył się do monarchy.

— Cóż to? — zawołał. — Król-Apollo, król-słońce — samotny? Rangę swą jeneralską stawiam w zastaw, że pierzchnęła stąd przed chwilą która z Muz, rydwan Febusowy otaczających. A może cały korowód nimf umiłał swemu panu słodką chwilę wywczasu?

Skrzywiły się król, laską stuknął.

— At!... Nie o to mi teraz chodzi. Innym... młodszym... te płochości zostawiam.

— Królu i panie! — zgiął się książę w ukłonie tak niskim, że mąka z peruki ubranie mu osypała. — Obliczem, sercem i zmysłami jesteś wasza królewska mość z nas wszystkich — najmłodszy.

Król uśmiechnął się. Lubił pochlebstwa, jak kot głaskanie.

Ale uśmiech równie prędko zgasł, jak zabłysnął.

— Powtarzam ci, jenerale, że nie o to chodzi. Mianowałem cię szefem swej gwardii przybocznej. Gdzież ona?

— Formuje się, miłościwy panie.

— Z czego?

— Z atletów, których nam przyśle Korona i Litwa. Zaćmiemy muszkieterów króla francuskiego, tak samo, jak Drezno zaćmiło już Wersal.

Znów uśmiech przemknął po grubych wargach Augusta. I znów jednak zaraz po uśmiechu zjawilo się skrzywienie.

— Przybędą... zaćmimy... Wszystko in futuro. A czas upływa! A Europa czeka na widowisko, które jej dać przyrzekłem!...

— Mamy już kilku gigantów, jakich nie tylko Ludwik XIV, lecz i cała Francja u siebie nie widziała.

Skrzywił się król bardziej jeszcze.

— Giganty?... Jeden dosięga zaledwie półczwarta łokcia; drugi mierzy tylko trzy łokcie i cali dziesięć.

— Znajdą się i lepsi, miłościwy panie. Kazałem przepatrzyć wszystkie pułki koronne i litewskie. Uproszeni przeze mnie ichmość senatorowie pilne także w powiatach swych